

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

26

— Nie lubi pani?... Czy naprawdę można pani nie lubić?!

— Oj! Można, panie Jurku, oj, można!... Ale musimy się już pożegnać...

Zatrzymali się na załomie ulicy, bo Józia z obawy przed gniewem świekry nie chciała iść z młodym legionistą przez rynek.

Podali sobie ręce w serdecznym, przyjacielskim uścisku.

— Czyż nie zobaczymy się już, paniu Józiu? — pytał Jurek, przyrzymując w swojej stwardniałej prawicy, drobną dłoń młodej kobiety.

Józia zsunęła brwi w namyśle.

— Jąbym sama tak chciała widzieć się jeszcze z panem... pogadać...

— Może jąbym zaszedł do pani — zaproponował nieśmiało chłopiec.

— O! Niel!... Niel!... To niepodobna!... — zaprotestowała żywo. — Ale wie pan, już wiem, jak będzie. Zalecę dzisiaj po szóstej do panny Larchówny. Będzie tam pan?

— Oczywiście, że będę.

— Do widzenia zatem!

— Do widzenia!

— Serwus, Jurek! — zawołała jeszcze w przystępie łobuzerskiej swawoli.

Sama zdziwiła się tym poufałym wykrzyknikiem. Nie wiedzieć skąd przyszło jej to na myśl. O! odezwała się w niej na chwilę „kozak dziewczyna“, „narwana Józka“.

Nagle drgnęła. Doznała wrażenia, jakby ją ktoś policzkował wzrokiem. Odwróciła głowę. Przed bramą pobliskiej kamienicy stał Łuniewski. W jednej ręce trzymał płonącą zapalniczkę benzynową, w drugiej niezapalony papierosa.

Bił w Józję spojrzeniem nienawiści i wzdury. Zielonawe oczy błyszczały fosforyzująco. Usta zacisnęły się brzydkim, złym grymasem, który miał być może ironicznym uśmiechem.

Stał tak blisko, że z pewnością słyszał, jak Józia mówiła: „Serwus Jurek“.

Pairzył wyzywająco, arogancko i nie zdjął kapelusza, nie uklonił się.

Młoda kobieta zadrżała pod tem wejrzeniem.

— Nowy wróg, zacięty wróg!... — szepnęło jej złe przecucie.

Skinęła Jurkowi głową i spiesźnie zwróciła się w stronę domu.

— — — — —
Teresa Larchówna, z wyciągniętymi nogami, wpółleżąc, wpółsiedząc na na swojej wąskiej sofce, czytała gazetę.

Czytała bardzo uważnie, z widocznym napięciem myśli.

Przy stole siedział Jurek Borzecki. Stała przed nim szklanka z niedopitą herbatą i leżał kawałek niedojedzonego chleba.

Legionista wsparł się na łokciu i w zadumie pocierał dionią czoło.

Larchówna doczytała do końca jakiś artykuł. Wargi jej poruszyły się w ten sposób, jakby przeżuwała coś bardzo niesmacznego, gorzkiego.

Po chwili podniosła wejrzenie swoich płomiennych, głęboko zapadniętych oczu.

— Aż coś się w człowieku skręca, kiedy się czyta teraz gazetę. Tak mi się zawsze zdaje, że tę plachtę papieru czuć nie kiepską farbą drukarską, ale krwią ludzką. Posłuchaj... naprzykład dzisiejszy komunikat: „nasze waleczne wojska wykonały niespodziany atak na wzgórze, obsadzone wczoraj przez nieprzyjaciela i odzyskały je. Straty nasze, pomimo zaciętej obrony nieprzyjaciela, są nieznaczne“. Uważasz, „nieznaczne!“ jak to niewinnie brzmi. Albo jest tu artykuł pt. „Orgia lichwy żywnościowej“. Takie to niby powszednie, już przyzwyczailiśmy się: „niema chleba, niema maki, niema ziemniaków, niema mleka dla dzieci“, ale tak uważnie wsłuchać się, to każde słowo aż wyje poprostu rozpaczą. Uważasz, Jur?...
— Tak, tak... — odpowiedział z roztargnieniem Jurek.

Larchówna odłożyła gazetę i wpatrzyła się w cioteczny brata.

— Zdaje się, żeś ty nawet nie słyszał, o czym mówiłem. Gdzie twoje myśli, Jurku? Ciągłe się trąpisz temi sprawami legionowymi?

— Nie, Tereniu... O czym innem myślałem teraz...

— Musiało to być coś poważnego i niewesołego, bo minę masz przytem wcale nie ręgą.

— Tak...

— No, wypowiadaj się, chłopaku, powiedz, co ci tam na sercu cięży... Ty wiesz, że ja umiem słuchać, a czasem i poradzić.

— Ja sam chciałem z tobą o tem mówić...

— To mów... Cóż to takiego?... Może zakochać się, dzieciaku?

Jurek uśmiechnął się smutnie.

— Nie, teraz nie zakochałem się... Widzisz, spotkałem dzisiaj w Łykowie dawną znajomą...

— Więc?...

— Nie wiedziałem nic, że wyszła za mąż. Mówiła mi, że się znacie...

— Któż to taki?

— Z domu panna Józia Maliniewicz... Obecnie pani... pani Żarnicka...

— Aha!... — Teresa postawę wpółleżącą zmieniła na siedzącą. — Piękna pani Józia! Jakoś cię ona bardzo obchodzi, to już widzę.

Jurek milczał, utkwiwszy oczy w żółtawą ceratę, okrywającą stół. Palcami jednej ręki bębnił jakiegoś marsza.

— Słuchajno, Jur, a jak to było na imię owej czternastoletniej dziewczyny, dla której wyprawiałeś takie arabskie awantury, że cię ze szkoły „wyłali“ i matka musiała wywieźć cię z Krakowa. Nie Józia, przypadkiem — co?

— Józia — odrzucił krótko.

— No tak, teraz rozumiem. A ty o niej jeszcze nie zapomnialeś, czy teraz dopiero przypomnialeś sobie?

— Nie zapomniałem...

— Tak! O niej trudno zapomnieć. Rzuca czar... — powiedziała Larchówna, jakby sama do siebie.

— Tereniu, powiedz mi... — zaczął znowu Jurek.

— Cóż chcesz wiedzieć?

— Jaki jest ten... ten jej mąż?... I jego rodzina?... I jak myślisz, czy jej tutaj dobrze?

Teresa nie odpowiadała długą chwilę, sięgnęła po leżącą obok na krześle papierosnicę, wyjęła papierosa, usypała odrobinę tytoniu na rękę i mruknęła ze złością:

— Psiakrew! „Ersatz“ Bukowe liście!

— Tereniu... — powtórzył proszącym tonem chłopak.

Larchówna otoczyła się obłokiem błękitnawego dymu.

— Głupia była ta mała, że nie czekała na ciebie. Potrzebnie się spieszyła...

Jurek westchnął.

— Czy to niedobry człowiek, ten Żarnicki?

Larchówna namyśliła się chwilę nad odpowiedzią.

— Nie, nie można powiedzieć, żeby był niedobry... Przeciwnie, on jest z natury dobry i trochę nawet zawadło tkiłowy, tylko...

— Tylko co?...

— Tylko, że to jest „mamusi synek“. A jego mama... A przytem owa wrodzona mu dobroć i jak wspomniałam nadmierna tkiłowość, godzi się u niego doskonale z niezwykle wygodnictwem i podłana jest scsem porządnego egoizmu. W stosunku zaś do kobiet jest... ja bym to nazwała, „łagodnym uwodzicielem“. Ale ty może nie rozumiesz tego określenia, Jur.

— Istotnie, nie rozumiem, ale mniejsza o to! Idzie mi tylko o nią. Jak myślisz, czy on ją kocha?

— Po swojemu, z pewnością.

— To znaczy?...

— To znaczy, iż mu się zdaje, że jak on ma na nogach kalosze, to jej nie powinna do dziurawych bucików napływać woda...

— Więc to taki egoista!...

— Wszyscy mniej lub więcej jesteśmy egoistami, Jureczku!

— Sądziś, że Józia w nim zakochała się...

— Nie tylko się zakochała, ale waryowała za nim!

Usta Jurka zadrżały prawie niedostrzegalnie.

— Czy on bardzo przystojny?

— Tak sobie. Zależy od gustu.

— A'le można się w nim zakochać?

— O! Można! — Czarne oczy Larchówny rozżarzyły się nagle. Może wstrząsnęła nią fala wspomnień.

W głosie jej zadrgał taki mocny akcent niezłomnego przekonania, że zwróciło to uwagę Jurka.

Nie zdradził się z tem jednak i głośno zapytał:

— A matka, pani Żarnicka?

Sobolowe, przepyszne czarne brwi zbiegły się, pogłębiając bruzdę na czole.

Wypalony papierosa zgniotła i rzuciła na popielniczkę.

— O Żarnicką się pytasz? Podła, wściekła małpa! — rzuciła przez zaciśnięte zęby to niewybredne określenie.

— I jak ona obchodzi się z Józją?

— Maltretuje ją!

— Aaa!...

Zapukano do drzwi.

Larchówna zerwała się z sofki.

— Proszę! — zawołała.

Drzwi otworzyły się. Ukazała się słodka twarzyczka Józii.

— — — — —

— No, niechże się pani decyduje. Pojedziemy razem... — nalegał Jurek.

— Poco mnie pan namawia! Czy pan nie widzi, jaką mam ochotę? Cóż, kiedy nie można.

— Dlaczego nie można?

— No bo tak...

— Chyba świekra nie zabroni pani odwiedzić ojca — wtrąciła milcząca dotychczas Larchówna, która żadnego prawie nie brała udziału w rozmowie Józii i Jurka, lecz tylko obserwowała i kombinowała coś w myśli.

Po jej przywidyli, spieczonych wargach przebiegał kiedy niekiedy dziwny uśmiech, po-błażliwie ironiczny.

Ona jedna zdawała sobie sprawę z tego, jakie skutki, komentarze pociągnąć może za sobą ta wspólna podróż dwojga młodych.

W honor i czystość uczuć Jurka wierzyła wprawdzie niezłomnie, jak również w niewinność zachcianki Józinej, wiedziała jednak dobrze, że nie uwierzy w to ani pani Żarnicka, ani żadna z „kumoszek“ lykowskich, ani Konrad...

Nie ostrzegała jednak, nie odradzała, przeciwnie, podsuwała Józii wybieg.

— Może pani powiedzieć, że pani dostała list od ojca z zaproszeniem.

— Ach! Moja teściowa nie zapyta pewnie nawet o to. Ona będzie szczęśliwa, że się na mnie choć przez kilka dni patrzeć nie będzie.

— Cóż to za zła musi być kobieta! — wybuchnął Jurek.

— Trudno, jaka jest, taka jest! Ja jej już nie zmienię!

— Więc gdzież przeszkoda? — zapytała Larchówna. — Aha! Domyślam się, o co idzie!

Pieniądzy pani niema? — szepnęła, pochylając się do ucha Józii, tak, aby Jurek nie usłyszał.

Usłyszał jednak.

— Pieniądze!... Jakto, przez takie głupstwo, przez taką bagatelkę miałaby pani zepsuć sobie przyjemność?!

— No, no, ładna mi bagatelka — brak pieniędzy!... zamruczała Larchówna — Odkądże to tak, mój chłopcze?... Nie wiesz to, jak ktoś tam napisał: „Ho! Geniuszem mógłbym zostać, gdyby nie ten brak pieniędzy, co wyniosła moja postać wciąż powala w rynsztok nędzy“...

Jurek, zda się, nie słyszał nawet słów kuzynki. Nieśmiało, proszące wejrzenie zwrócił ku Józii.

— Pani Józiu... jeżeli rzeczywiście... to niech pani zechce... niech pani raczy przyjąć odemnie pożyczkę... ja mam pieniądze... Zaoszczędziłem jeszcze z pola...

Ogniste rumieńce oblały twarz młodej kobiety aż po korzenie złotawo-brązowych włosów.

— Panie Jerzy, co pan...

— Tereniu!... — zawołał błagalnie Legionista, jakby szukając pomocy u kuzynki.

Larchówna leżała na sofce, podłożywszy pod głowę obie ręce. Czarne przepaściste oczy przebiegały ze wzruszonej twarzy Jurka ku zacerwienionej Józii i znowu powracały do młodego Legionisty — tajemnicze, zagadkowe. Nie podobna było wyczytać z tych oczu, co Teresa w tej chwili myśli.

— Może pani śmiało przyjąć od Jurka... — wyrzekła jakimś leniwym głosem — od żadnego innego nie radziłabym... ale od niego może pani...

Józia była zakłopotana, ale i rozrzuwiona zarazem. Pocziwy Jurek!... żadnej urazy, żadnej złości — sama tylko życzliwość...

Chcąc ukryć zmieszanie, odwracała głowę od młodego Legionisty — ku oknu. Ostatnie blaski zachodzącego słońca rzucały czerwone